

Józef leciał po raz pierwszy w życiu. Wiatr rozwiewał mu resztki siwych włosów. Kilka kropel przelotnego letniego dżdżu dotknęło spoconego czoła.

Gdyby nie kategoryczne polecenie, nigdy by tego nie zrobił. Wyleciał niechętnie, pełen obaw nieobcych każdemu początkującemu, ale teraz już nie żałował.

Wieczór był jeszcze młody, rozgrzany za dnia asfalt powoli przechodził ze stanu ciekłego w stały, na jego powierzchni zaczęły pojawiać się pierwsze kurze łapki. Zmęczone upałem miasto zaczęło wreszcie oddychać swobodniej.

Józef leciał spoglądając dookoła z coraz większym zaciekawieniem. Nie mógł uwierzyć, jak wiele zmieniło się od czasu, gdy był tu po raz ostatni.

Marszałkowska i trasa W-Z, Krakowskie Przedmieście i tunel, i wnet... Jakby spod ziemi wyrosła przed nim budowa. Brzozowy lasek, w którym jeszcze tak niedawno zbierał grzyby, zastąpił las dźwigów.

Warszawa rosła jak na drożdżach. Pomyślał, że jak tak pójdzie, samoloty już niedługo będą zawadzać o nią przy podejściu do lądowania.

Leciał przed siebie oszołomiony pędem. Poły długiego płaszcza trzepotały na wietrze.

Przelatywał właśnie wzdłuż mostu Śląsko-Dąbrowskiego, po prawej widział kolejny most, po lewej następny, a dołem płynęła Wisła. Ledwo poznawał swoje miasto, tu wyrósł dom, tam wyrósł dom, dosłownie z godziny na godzinę.

Żałował, że nie dostał rozkazu wcześniej, tyle czasu zmarnował, tyle rzeczy przegapił. Zerkał na autobusy migające czerwienią i zaglądał z nimi do okien tramwajom.

Do jego uszu docierał przyjemny uliczny gwar. Miasto oddychało już pełną piersią wieczorną, muńkową spaliną.

Wciąż więcej nas – pomyślał z rozrzewnieniem. W Warszawie, najmiłszym z miast.

Mijał właśnie rząd nowo poczętych domów, gdy zauważył lecącego sąsiada. Gnał jak szalony, uszy położył po sobie.

– Dobry wieczór, panie Janie. – Zdążył tylko krzyknąć, a tamtego już nie było.

Pewnie też dostał rozkaz, żeby lecieć. Rozkaz to rozkaz, sąsiad był sierżantem sztabowym, więc wiedział, że lepiej nie pytać po co. Od myślenia jest dowództwo, ono zawsze wie lepiej.

Józef minął kolejny rząd kolorowych budynków, z których wylatywali następni. Na trasie zaczynało być tłoczno.

Niespodziewanie znów go zobaczył. Sąsiad stał nad brzegiem rzeki. Może próbował dać do zrozumienia, że jest wojskowym w stanie spoczynku albo pozwolił sobie po prostu na krótką chwilę niesubordynacji, by popatrzeć na stolicę.

Było na co – po Wiśle pływały kajaki, robotnicy śpiewali po pracy, a Stare Miasto uśmiechało się do różowego Mariensztatu.

Na Pradze Józef ujrzał nagle pędzącego na złamanie karku faceta, a za nim grupę zdyszanych mięśniaków, próbujących go schwytać. Gość kogoś mu przypominał.

– Run, Forrest, run! – Wydało mu się, że usłyszał okrzyki grupki japońskich turystów, zachęcających brodacza do podkręcenia tempa.

– Gump? – krzyknął pytająco, chcąc się upewnić, czy się nie myli.

– Nie gap się, dzieciule! – wrzasnął potężny spocony łysol prowadzący grupę pościgową.

– Lecisz w kulki? – wrzasnął szczuplak z trądzikiem na twarzy, pędzący tuż za nim.

– Lecisz w gumy? – ryknął następny.

Pytania padały jak krople deszczu, a on nie mógł nigdzie się przed nimi schronić.

– Leci z nami w chuja – odpowiedział za niego kolejny ze spoconych ścigających.

Józef nawet nie zareagował, kompletnie zdezorientowany kierunkiem, w którym zdążała rozmowa.

– Chcesz dostać w mordę? – zapytał następny, włączając się do dyskusji. Był najwyraźniej wściekły, że nie wytrzymał tempa narzuconego przez prowadzącego i zostaje w tyle.

Józef nie zdążył odpowiedzieć, bo zamykający pościg już nie pytał, tylko dał mu bez pytania. Upadł na chodnik. Sąsiad, który przestał chłonać uroki przybrzeżnej dzielnicy, przelatywał właśnie obok.

– Niech pan nie obniża lotów – krzyknął do niego, i poleciał. Dobra rada, rychło w czas!

W głowie huczało mu od uderzenia, jednak głos sąsiada mocno go zmotywował. Poderwał się znowu. Było chyba jednak już za późno.

Ciemności zaczęły spowijać miasto, dzień chylił się ku upadkowi. Józef widział budzący się sztucznych świateł blask, a w dalekich oknach nadsięgająca noc w jednej chwili zapaliła tysiące gwiazd.

Leciał podobny do pocztowych gołębi. Był zaobrączkowany jak one, i tak jak one prznosił wiadomość.

Zerknął jeszcze przez chwilę na ledwie widoczną w oddali wodę i na drżące odbicia latarni odpływające z nurtem ku morzu, chciałby jak facet z piosenki zaśpiewać coś swojej dziewczynie, ale poczucie obowiązku kazało mu poszybować myślą do domu.

Przypomniał sobie postać żony stojącej w drzwiach i usłyszał wyraźnie jej nie znoszący sprzeciwu głos: – Leć! I pospiesz się, bo niedługo zamkną.

Miał lecieć niedaleko, spożywczy był tylko dwie ulice dalej, ale niepotrzebnie go poniosło. Przez to latanie w kółko po mieście nie zdążył.

Tak jak przewidywał, sklep już dawno zamknęli. Poczta żony do ekspedientki, z listą artykułów, które miał kupić, nie była już nikomu potrzebna.

Nie miał po co wracać z pustymi rękoma. Nie miał wątpliwości, że małżonka go zabije.

Już lepiej znów dostać w mordę – pomyślał.

Zrzucił płaszcz i poleciał po śladach grupy ścigającej Gumpa.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Jacek Londyn, dodano 07.04.2022 15:22

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).